

Ósmy Festiwal

I znów, jak co roku, na ekrany naszych kin weszło kilka nowych filmów radzieckich. W tegorocznym, ósmym z kolei festiwalu, miłośnicy X Muzy mogą zapoznać się z paroma najlepszymi filmami, jakie w ub. roku wyprodukowali filmowcy Związku Radzieckiego.

Z nich na czoło wysuwają się bezsprzecznie dwa: „Zurbinowie” i „Romeo i Julia” — oba odznaczone zaszczytnymi nagrodami na międzynarodowych festiwalach.



„Zurbinowie” — to chyba najciekawszy film Festiwalu (zdjęcie pierwsze od góry). Jego bohaterami jest rodzina Zurbinów — pokolenie stoczników. Autorem filmu udało się ukazać ich przeżycia w sposób bardzo ciekawy, od wewnątrz. Właściwie akcja jego nie mówi o czymś niezwykłym — przeżycia bohatera, ich sprawy i problemy są związane z codziennym życiem, z ich pracą, kłopotami rodzinnymi, miłością, ambicją. To, że rozwój wypadków śledzimy z tak silnym zainteresowaniem, film zawdzięcza niezwykle trafnej i psychologicznie głębokiej charakterystyce występujących w nim ludzi. Nie mał każda postać filmu, to znakomity typ. Dodajmy do tego znakomitą grę wykonawców. Pamiętajcie — „Zurbinów” trzeba koniecznie zobaczyć!

Mało u nas znany balet Prokofiewa „Romeo i Julia” — czekał się pięknej kolorowej i bardzo lirycznej realizacji filmowej wybitnego reżysera radzieckiego — L. Arnsztama. Partie tytułowe wykonuje doskonale para tancerza — H. Ulanowa i J. Zdanow.

Oto, co Ulanowa mówi o swej pracy w roli Julii:

„W młodej i wiotkiej Julii pragnęłam stworzyć przede wszystkim siłę ducha — heroizm uczuć, który uczynił ją zdolną do oparcia się narostom w ciągu wieków przesądom”.

Zdjęcia „Romeo i Julii” wyróżniają się kompozycją plastyczną, a sceny licznych pojedynków — dynamicznym ujęciem (zdjęcie drugie od góry). Film nie tylko dla melomanów.

Akcja filmu „Stara forteca” przenosi widza w lata wojny domowej na Ukrainie. W niespokojnych latach upływa młodość bohaterów tego filmu; toteż zawiera on niejedną dramatyczną scenę (zdjęcie trzecie). Reżyserowali młodzi realizatorzy radzieccy, A. Alamow i W. Naumow („Stara forteca” jest ich pierwszym samodzielnym dziełem).

Warto dodać, że forteca, którą oglądamy w filmie, nie jest dekoracją. Została ona zbudowana w Kamieńcu Podolskim w XIV stuleciu; akcja filmu rozgrywa się wśród jej ruin.

Z innych filmów festiwalowych — „Na bezludnej wyspie” — zostanie z pewnością gorąco powitany przez naszą młodzież. Film opowiada o grupie myśliwych i rybaków zmuszonych przebywać na bezludnej wyspie. W komedii „Skąd my się znamy” ujrzymy popularnego w ZSRR komika, A. Rajkina — w kilku rozmaitych wcieleniach (podobnie jak Dymśa w filmie „Sprawy do załatwienia”). Film „Konik polny” jest również komedią o charakterze operetkowym. W roli młodej i nieco trzpiotowatej dziewczyny występuje artystka gruzińska L. Abaszidze.

Poza tymi filmami ujrzymy kilka ciekawych kreskówek dla dzieci oraz kilka krótkometrażowych komedii, opracowanych według nowel Antoniego Czechowa. (bi)



NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 11 IX 1955

Rok VI Numer 35

Maciej Gryfin

Wrażenia z ZSRR

Przystanek Wielbłąd

GDZIE się nie obejrżeli, widzieli przed sobą tylko step. Nic — tylko step. Jedyne linie kolejowe, która srebrzysta nitka ciągnęła się z jednego krańca horyzontu na drugi, mówiła, że tam skąd przybyli, są tętniące gwarem miasta, dziewczęce usta, kina i teatry. Tu nie było niczego. Nawet nazwy. Po prostu na którymś tam kilometrze kolejowej linii polecono im zbudować przystanek. Budkę dla drożnika, poczekalnię dla pasażerów i przepisowo podnoszony szlaban. Komsomolcy wydziali troche na ten świat, bo tu w ogóle ani drożnika, ani pasażera, ani pojazdów, przed którymi trzeba było podnosić i zamykać szlaban, jeszcze żadne oko ludzkie nie widziało. Nieraz gdy odpoczywali w naprędcie skleconych namiotach, zastanawiali się, czy przypadkiem jakimś biurokracie w pogoni za normą nie przyszła do głowy myśl, aby nawet na pustym stepie, tam gdzie nie ma żadnego ruchu, budować przystanki kolejowe.

Było to w burzliwym roku 1929. Nikt tu stałe nie mieszkał. Za carskich czasów jeszcze niekiedy zapędzali się w tę stronę zubożali dońscy kozacy, wypasający tabuny koni należące do wielkich obszarników, mieszkających stale w Moskwie i Petersburgu. Ludzie stepów trzymali się bardziej nadrzecznych stron. Tu w okolicy nawet do wody dokopać się było trudno. Toteż młodzi nieraz narzekali na nieregularnie dostarczane drewna i jedzenie, ciepłą wodę i stare gazety. Kiedy kończyli budowę przystanka, zaczęli głośno się, jak go nazwać. Padły różne projekty. „Namiot” — ale przecież wiedzieli, że namioty zwiną, „Step” — ale step był nie tylko tu, „pustka” — razili swą beznadziejnością. I nagle w dniu burzliwych sporów naddziagnęła ze wschodem słońca karawana wielbłądów. Sierioża z Kijowa, który tych zwierząt nie widział nigdy w życiu, podskoczył w górę z radości, wywinął na trawie koźlą i wykrzyknął radośnie:

— Mam! Przystanek Wielbłąd!

Kawalarz

z temperamentem

Pewnego dnia z towarowego pociągu, który zatrzymał się na przystanku Wielbłąd, zeskoczył młody niepozorny komsomolec Mikołaj Gariaczew. Przez ramię miał przerzucony pustawy plecak, w nim kilka odbijanych na powielaczach rolniczych skryptów i bochenek razowego chleba. Nie spodziewał się tu asfaltowych dróg i kwietników, ale takiej pustki nigdy nie potrafił sobie wyobrazić. Minę widocznie miał niezbyt pewną siebie, skoro młodzi robotnicy kolejowi jak na ko-

mendę wybuchnęli śmiechem. Kiedy przy ognisku, na którym pitrasili obiad, opowiadał im, że przybył tu, aby zacząć się hodowlą nowych odmian pszenicy, komsomolcy gryząc skrzypiący piaskiem żytni razowiec — zaśmiewali się do łez i traktowali „towarzysza studenta” jako niezrównanego kawalera. Mikołaj nieraz skakał im do oczu, perzył się, ale gdy przyszło mu przecierać niezbyt dobre oczy, w które sypał pyłem stepowy wiatr, nie pozwalał robić z siebie „męczennika nauki” i wraz z młodymi robotnikami kolejowymi wył z temperamentem dzikich Indian z powieści Karola Maya.

Ulica Specjalistów

Rychło na przystanku Wielbłąd trzeba było kopać doły pod fundamenty pierwszego domu. Mikołaj Gariaczew popluwając „dla rezonu” w popękane od nagniotków ręce odwałł pierwsze łopaty ciężkiej gliniastej ziemi. Dziś w tym pierwszym na stepie jednopiętrowym domu mieści się Rostowski Instytut Doświadczalno-Selekcyjny, a Mikołaj Gariaczew jest jednym z tutejszych naukowców. Dzisiaj przystanek Wielbłąd nazywa się Ziarnograd.

Wiele zieleni, boczne żwirowane ulice, wąskie chodniki i małe, najwyżej dwupiętrowe domki. Na zakręcie mignęła mi tabliczka z dziwną nazwą... ulica Specjalistów. Dwa niemal białe od kurzu auta z Obwodowego Zarządu Rolnictwa zatrzymują się przed Instytutem. Naprzeciw nam wychodzi dwoje ludzi. Wysoki, sztywno trzymający się mężczyzna i starsza kobieta w szarej kretonowej sukience. Twardą, opaloną ręką poprawia kosmyki spadających na pomarszczone czoło siwych włosów. To Andrzej Harlamow, dyrektor Instytutu i Zenaída Fiodorowna Wołoczkowa, kandydat nauk. Wpatruje się w nieruchomą twarz dyrektora. Od oka aż do skroni widnieje straszna zabiżniona szrama. Takich ran nie odniósł żaden naukowiec wprowadzając nowe odmiany pszenicy. Od radzieckiego dziennikarza dowiaduję się, że Harlamow, to był oficer artylerzysty. Zazdroścę redaktorowi naczelnemu z Bydgoszczy, który tu w Ziarnogradzie spotkał dwóch radzieckich oficerów, którzy wyzwalali jego miasto. Z moich znajomych tylko szofer Wasyl otarł się o Cytadę. Stoję nieco z boku i uśmiecham się do Harlamowa. Chcę nawiązać rozmowę. Dyrektor jakby mnie nie dostrzegł. I nagle przerywa moje myśli, ostry, świrujący, zmuszający do zmruczenia powiek fizyczny ból. Ten człowiek jest na jedno oko niewidomy. W oczodole tkwi lu-

dzko podobne, jednak martwe szkło. Nie pytam już o nic. Nie chcę rozdrażniać zabiżnionych ran. Czyż jeśli oficer artylerzysty zrosił krwią przedpola Woroneża lub Wiaźmy, czy nie był to ten sam bój co o Warszawę i Poznań?

Dyrektor prosi do wnętrza. Po całodziennym zwiedzaniu rozległego pobliskiego sołchozu czujemy się straszliwie zmęczeni. Mówiąc prawdę, w duchu nie jesteśmy jeszcze w pełni przekonani o potrzebie zwiedzania Insty-



Nad brzegami Morza Czarnego tysiące uczestników warsztatów pracowniczych i obozów sportowych — zażywają przyjemności lata.

tutu. Uważamy, że tam w sowchozie zetknęliśmy się bezpośrednio z życiem, tu czekają nas tylko laboratoria, mikroskopy, próbki najróżniejszych odmian zbóż. Prosimy o odłożenie zwiedzania Instytutu na jutro. Dyrektor nie nalega.

Idziemy do naszych kwaterek. Będziemy spać w jednym z domków zarezerwowanych dla radzieckich naukowców. Mieszkanki: trzy niezbyt wielkie pokoiki i kuchnia w jednym z wielu domów zbudowanych całkowicie z prefabrykatów. Rubaszny Ukrainiec pełniący funkcję gospodarza domu, łapie się za głowę z rozpaczy.

— Ot, wstyd, ja jej powiedziałem, żeby wszystko było gotowe, a ona wzięła klucz i poszła. Zaraz ją poszukam. Myśleliśmy, że najpierw będziecie zwiedzać.

Gospodarz stawia rower pod ścianą i udaje się na po-

Pomnik przyjaźni



11 lat temu bohaterskie oddziały Armii Radzieckiej dopomogli narodowi bułgarskiemu w zrzuconiu Jarzma hitlerowskiego i w ustanowieniu ludowej władzy. Dla upamiętnienia tego historycznego faktu, na jednym z najpiękniejszych placów Sofii wzniesiono na cześć żołnierzy radzieckich wspaniały pomnik, który podobnie jak obelisk na słynnej przełęczy Szypka w górach Bałkanu — symbolizuje odwieczną przyjaźń między obydwojma słowiańskimi narodami.

Fot. J. Mikołajczak

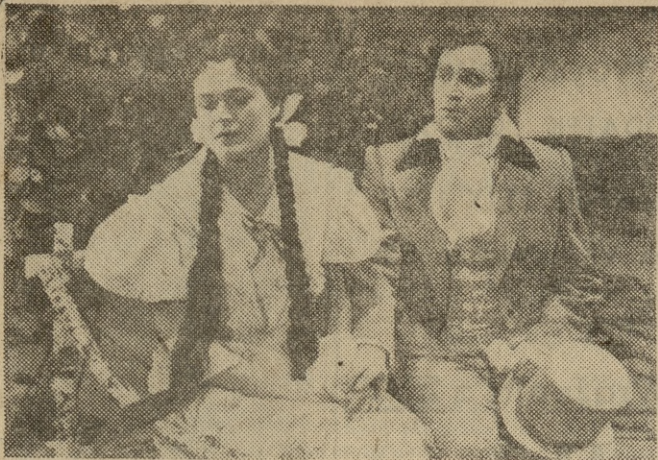
Bociany w Ziarnowie

Rower znów stoi pod ścianą.

Za chwilę znajduje się gospodarz i klucz. W każdym pokoju miła niespodzianka. Olbrzymie białe-czerwone bukiety. Na kolację idziemy do miejscowej gospody wąskimi chodnikami, biegnącymi wśród ogrodów. Nieraz trzeba pochylać głowę, aby nie zawadzić o nisko rosnące gałęzie. Zenaída Fiodorowna opowiada nam o Ziarnogradzie, którego nazwę spolszczyliśmy od razu na „Ziarnowo”. Niemal połowa mieszkańców, to młodzi naukowcy i studenci. Poza Instytutem Doświadczalnym mieści się tu Instytut Mechanizacji i Elektryfikacji Sowchozów oraz Wyższa Szkoła Inżynierów Mechaników Rolnictwa, której studiuje 1700 studentów. Do instytucji najbardziej popularnych należą... Urząd Stanu Cywilnego. Młodzi za-

Wspaniała panorama Moskwy zachwyca każdego turystę.

(Dokończenie na str. 2)



Przepiękne dzieło rosyjskiego kompozytora Piotra Czajkowskiego „Eugeniusz Oniegin” wystawiała Opera Wrocławska w roku 1954. Wystąpili w niej między innymi: Krystyna Jamroz (Tatiana) i Bernard Nowacki (Oniegin). Inscenizacja i reżyseria — J. Popiel. Scenografia — S. Janasik. Fot.: Z. Mozer

Dwie namiętności... Opery Wrocławskiej

8 września obchodziła uroczystość swego dziesięciolecia Państwowa Opera we Wrocławiu.

Starzy pionierzy wrocławscy pamiętają jeszcze powojenny wrzesień 1945 r. i pierwsze przedstawienie „Halki”. Pamiętają nałepiony na murze wypalonego domu, obok napisu „Min niet” i plakacika „Nie ma szkodnika nad szabrownika” — pierwszy skromny afisz operowy. Pamiętają uczucie głębokiego wzruszenia, które ogarnęło ich na tym przedstawieniu, kiedy w polskim Wrocławiu rozległy się dźwięki muzyki moniuszkowskiej. Pamiętają też — dziś przyznają się do tego z uśmiechem — pospolite uczucie strachu, którym trzeba było okupić wrażenia operowe, wracając wieczorem do

domu wąskimi przejściami wśród gruzów.

Nielatwo było w tym okresie młodemu zespołowi. Brakowało przecież wszystkiego: ludzi na scenę i za scenę, dekoracji i kostiumów, szyb w zalepionych papierem oknach. Ale razem z ludźmi, którzy przynosili Operze rzecz najważniejszą: zapal do pracy, gromadziło się powoli wszystko.

I właśnie z zapalu, z zapachu dyrektora Drabika i całego zespołu wyrosła owa niezapomniana, wrzesniowa premiera „Halki”, symbolizująca jakgdyby powrót narodowej kultury polskiej na Ziemię Zachodnią.

Dziś Opera Wrocławska ma już swoje własne, wypracowane w ciągu dziesięciu lat tradycje artystyczne. Ma już swoje — że wyrażamy się o Jubilecie tak, jak się mówi o ludziach-jubilatach — swoje własne, artystyczne namiętności, wyrażające się przede wszystkim w repertuarze.

Jedną z wrocławskich pasji jest Moniuszko. Po pionierskiej „Halcie”, po odgrzebanej z zapomnienia egzotycznej, pełnej społecznych treści „Parii” i po nieśmiertelnym „Strasznym dworze”, był jeszcze „Flis”, „Verbum nobile”, „Hrabina” i „Na kwatunku”. Dało to ciekawy moniuszkowski komplet operowy, dało repertuar dorocznych wrocławskich Festiwali Moniuszkowskich. Na Festiwalu tegorocznym, który trwać będzie od 8 do 25 września br. — zobaczy Wrocław, poza wymienionymi wyżej pozycjami, jeszcze „Bajkę” — balet do muzyki uwertury „Bajka”.

Drugą namiętnością Opéry Wrocławskiej jest muzyka czeska. Bliskość sąsiadów z południa i osobiste kontakty z nimi (nie darmo dyrygował we Wrocławiu Oldrich Lapka, śpiewała Halina Cenek, reżyserował Muncinger, do dziś gra na harfie Iva Schlechtova) — pozwoliły wrocławianom na wystawienie w ciągu dziesięciu lat czterech oper czeskich. Była więc: „Sprzedana narzeczona” — Smetany, była „Jenufa” — Janáčka, był „Czart i Kaska” oraz „Rusalka” — Dwořaka.

Zainteresowanie wrocławian muzyką czeską, odwzajemnione przez sąsiadów z południa zainteresowaniem dla działalności Opéry Wrocławskiej — wyraziło się gościną zespołu wrocławskiego w czeskim Liberecu oraz występami Opéry Libereckiej na scenie wrocławskiej. Zobaczyć więc Wrocław w 1954 roku cztery opery czeskie, wykone przez Czechów: „Pocałunek”, „Dalibora” i „Sprzedana narzeczona” — Smetany oraz „Rusalkę” — Dwořaka. Do Libereca zawieźli w tym samym czasie wrocławianie: „Straszny dwór”, „Verbum nobile”, „Na kwatunku” i „Fontannę Bachczyseraju”.

Rezultatem odkrywczych ambicji zespołu był szereg ciekawych, cenionych przedstawień: przypomniana moniuszkowska „Paria”, prapremiera „Buntu żaków”, która wprawdzie operę Szeligowskiego na inne sceny polskie, otarta z kurzu zapomniana opera Różyckiego „Eros i Psyche”, trudna „Rodzina Tarsa” — Kabalewskiego, współczesny balet „Czerwony rak” — Glera.

Spośród 30 oper i 10 baletów, wystawionych przez Operę Wrocławską w ciągu dziesięciu lat, „Czerwony rak” jest pozycją wyjątkową: jest zdanym na bardzo dobre egzamin baletowym, po którym mogła już wystawić Opera

Co mówi metryka z Bnina?

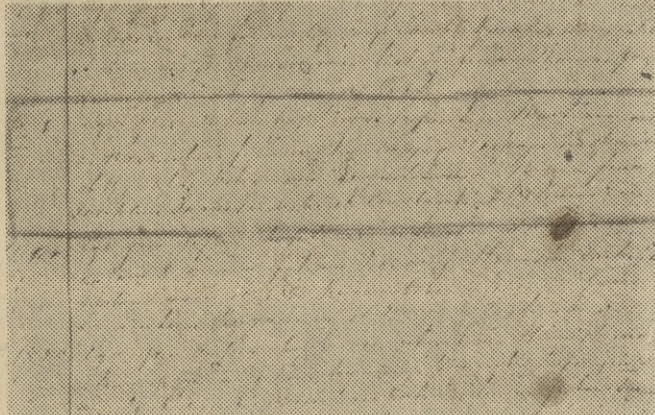
Niedawno udało się odszukać metrykę urodzenia Marcina Kasprzaka w Bninie, która ostatecznie prostuje różne dotychczasowe błędy w danych jego urodzenia i rozszerza nasze wiadomości o życiu wielkiego działacza polskiego ruchu robotniczego z Wielkopolski.

Z metryki wynika, że Marcin Kasprzak urodził się dnia 2 listopada 1860 r. we wsi Czołowo pod Bninem w pow. śremskim z ojca Kaspra i matki Agnieszki z domu Ostrowskiej, jako syn miejscowego chałupnika.

Inne dokumenty wskazują na to, że ojciec jego musiał zarabiać dodatkowo na utrzy-

go zbroku. Przeciętny zarobek na godzinę wynosił dla dorosłego mężczyzny 10 fenigów. Kobiety zarabiała w tym czasie od 50—80 fenigów dziennie. Tymczasem za 1 kg ziemniaków płacono na rynku 3 fenigi, maki pszennej od 15 do 16 f., kaszy od 26—30 f., mięsa wołowego — 62,5 f., a np. mięsa wieprzowego — 91 f. Tak więc najtańszym i głównym wtedy artykułem spożywczym były ziemniaki i mleko.

Kasper Kasprzak i jego żona jeszcze nie tak dawno przed przyściem na świat Marcina odrabiali pańszczyznę ręczną. Wspomnienia niedawnych, ciężkich lat pańszczyźnianej nie-



Fot. metryki Marcina Kasprzaka oddzielona ciemną obwódką.

(Lib. bapt. Bnin, r. 1860, nr 122)

Ze zbiorów Ludwika Gomoleca, Środa.

manie rodziny jako robotnik folwarczny. Szczupłe zarobki zmuszały również jego matkę do pracy na folwarku pańskim. Zarobek dzienny takiego robotnika wynosił wtedy od 80—150 fenigów. Płace robotnicze były różnicowane w poszczególnych porach roku. Największe były w porze letniej, w okresie nasilenia prac w rolnictwie. Dzień pracy trwał od wschodu słońca do wieczorne-

woli oraz nęcza i wyzysk w okresie rozwijających się stosunków kapitalistycznych na wsi w Poznańskim, towarzyszyły od kołyski w latach dziecięcych Marciniowi Kasprzakowi.

W najbliższej okolicy Bnina zamieszkiwała rozrodzona rodzina Kasprzaków. W Prusimowie pod Bninem mieszkał wtedy stryj Marcina — Jakub Kasprzak, również chałupnik, a 14. 2. 1859 r. w tejże wiosce urodził się jego brat stryjeczny — Walenty Kasprzak.

Matka Marcina Kasprzaka pochodziła także z rodziny chałupników. Rodzina Ostrowskich należała również do zasiedziały w okolicach Bnina i Kórniku. W r. 1820 spotykamy tutaj Antoniego i Walentego Ostrowskich. Ciotką Marcina była Konstancja Ostrowska. Ojciec Marcina utrzymywał serdeczne stosunki z chałupnikiem Józefem Januszewskim. Marcin Kasprzak uczęszczał do szkoły elementarnej we wsi Konarskie, oddalonej o blisko 2 km od Czołowa.

Dalsze żmudne poszukiwania przyniosły niewątpliwie nowe materiały źródłowe, które uzupełniły nam życiorys Marcina Kasprzaka — „socjalisty szalonej odwagi” z Wielkopolski.

Mgr Ludwik Gomolec

Opowiadanie

Czesław Michniak

BOLSZEWIK

Teraz leżał na sienniku, marszcząc chwilami czoło, co nadawało jego obliczu wyraz zdziwienia.

— Słuchaj — próbowałem miękko — za co cię zamknęli?

Oburzeli mnie smutnym spojrzeniem dużych, wystraszonych oczu, jakby prosił: „Zostaw mnie w spokoju, na co ci to?”

Potem znowu podszedł doń wysoki, kruczowłosy Serb. Ścisnął go za rękę, patrzył w oczy i nachylając się nad nim zachęcał.

— Pograj z nami w warcaby, no, dru!

Chłopak milczał.

Potem zbliżył się do niego krępy, kwadratowy Grek Karamakulos, zarzucając na pół palca. Modulując swój chrapliwy głos przemawiał do kolegi z Polski cicho, delikatnie.

— Niks schlecht. Alles gut. Gut. Przeszło bez wrażeń. Potem ja skoczyłem do niego z pięściami.

— Będziesz gadał, do cholery, czy nie? Nie strugaj z nas wariatów!

Zaszył się w rogu celi, rękami zakrył głowę, jakby chrpnął ją przed ciosami. W oczach pojawił się strach.

— No już nic, nic — zrobiło mi się przykro. — Jak sobie chcesz!

Daliśmy mu spokój.

Wtem drzwi otworzyły się z hałasem, ukazał się w nich strażnik. Trzymał przed sobą kartkę papieru, z której wrzaskliwie odczytywał nasze nazwiska.

Stanęliśmy na baczność.

— Zum Amtsarzt — powiedział strażnik — und dann ins Kaset!

Za kilka chwil obstawieni przez zielonych Schupo pomaszewaliśmy krętymi uliczkami w dół miasta, nad jezioro.

W oddali za Renem, wieczne śniegi Santis podobne były do pierzyny rzucanej niedbale na tło rudziejących z końcem września gór. U ich stop leżało Bodensee, niby wielka, drgająca taca. Szwajcarski brzeg podrywał się po drugiej stronie wody przyjazny i nieosiągalny.

Kolega z Polski siedł ze mną ramieniem, lekkim miarowym krokiem. Tutaj, za murami więzienia nabrał jakby wigoru, poweselał.

— Warszawa? — skorzystałem z okazji.

Popatrzył na mnie uważnie, po czym mruknął coś niechętnie. Radość zgasała jak płomyk świeczki na przeciągu. Odwrócił głowę w stronę gór, które obserwowały spokojnie nasz przemarsz. Niebo było bezchmurne, bardzo niebieskie.

Amtsarzt urzędował w ciężkim budynku starostwa na przeciwko portu. Tamten brzeg w czystym powietrzu wydawał się dziwnie blisko. Od różnił nawet wieńczy kościołów — sięgnąć by ręką. Ale rzeczywistość była nie wesoła. Zachodni nasi sprzymierzeńcy guzdrali się na przyczółku normandzkim, wschód zbierał siły do

Przystanek Wielbłąd

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wierają wiele małżeństw. A bociany nie należą tu do pewnością do bumelanów. Świadczą o tym najwymowniej miejscowe statystyki, jeśli w ciągu 6 miesięcznej niemieckiej okupacji urodziło się w Ziernogrodzie jedno dziecko, to w pierwszym półroczu 1955 roku „tylko”... trzysta.

Przechodzimy obok klubu, przez otwarte okna widać wiele tańczących par. Mijamy grupkę młodych żywo rozprawiających o najnowszych wynikach sportowych. W gospodzie widzę sporo zadzierzystych min, nie widzę jednak chuliganów. W drodze powrotnej ofiaruję się nam za przewodniczkę tow. Wołoczkowa. Protestujemy. Wstyd, żeby stara kobieta wskazywała drogę 5 mężczyznom, chociaż idziemy w jedną stronę. Protestujemy nadaremno. Właśnie urywa się chodnik. Trzeba przejść przez niegłęboką row.

— Uwaga, kamień — ostrze ga Wołoczkowa. — Ja tu trafię wszędzie, nawet po omacku. Przecież przyjechałam tu 25 lat temu.

W gabinecie przypominającym stodołę

Gabinet dyrektora Ziernogradzkiego Instytutu przypomina ją bez przenośni. Obok długiego konferencyjnego stołu eleganckich obitych skórą foteli, pełno snopów pszenicy, jęczmienia, owsa, prosa.

Harłamow mówi o nich z czułością właściwą ojcu pokazującemu gościom swe pociechy. Ot, ta tu — to dońska jara... najlepsza na makarony. Tu znów jęczmień rostowski 27, przeciętny plon uzyskany w różnych warunkach na olbrzymich przestrzeniach 26,6 q z hektara. Tu prosa. Nie zadowala ono jeszcze dyrektora, ma skłonność do wylegania, toteż rostowskie 29 będzie lepsze. Niektóre snopki noszą najwyższy numer — 33. Tyle odmian ziarnistych i traw wyprowadziła już stacja. Później pełne 3 lata na polach doświadczalnych Państwowa Komisja przeprowadza próby ze zgłoszonymi odmianami. Wymagania komisji są bardzo wysokie, toteż zdarza się, że trud wieloletniej pracy zostanie odrzucony i nie wprowadzony do produkcji. Ileż hartu trzeba, aby podjąć pracę na nowo.

Młodzi do Instytutu przychodzą różnymi drogami, najczęściej po ukończeniu wyższych studiów. Czasem wybitnie zdolny, młody agronom trafi tu wprost z MTS-u, ale musi się nadal sumiennie uczyć. Trudno uwierzyć, gdy widzi się komsomolca Borysa Czernisowa, selekcjonera pszenicy ozimej, czy laborantkę

fizjologii roślin, sekretarza komsomolu Wale Kaliniczko, pełnych skupienia pochylonych w laboratoriach — i później tych samych ludzi grających w siatkówkę, pływających na basenie lub tańczących w klubie. Pojęcie „naukowiec” nie oznacza tu niewytykania nosa spoza ster ty ksiąg, lecz pełnych werwy i życia ludzi rzetelnej wiedzy.

Instytut posiada 3 tysiące własnych hektarów ziemi, wiele użytkowanych hektarów sztucznie zraszanych pół nad kanałem Wołga—Don, ale najwięcej ziemi i ludzkiego zaufania posiada w sowchozach i kolchozach, Ziernograd i jakby rzucony w głęboki teren sztab oficerów wysokiego urodzaju. Metody walki są nieraz także frontowe. Ot, przypuścimy w jakimś sowchozie kuleje produkcja zbożowa. Jadą tam ziernogradscy naukowcy. Przypatrują się sposobowi uprawy i nie ograniczają do uwag z piedestału uniwersyteckiej nauki. Mówią tak: dajcie nam u was ze 100 hektarów przeciętnej ziemi. Pokażemy wam, jak bez żadnych trudów można uzyskać wysoki plon.

Takie pole ściąga uwagę rolników z okolicznych rejonów. Nieraz nad wieczorem mkną tam „Pobiedy” z różnych stron. Na miejscu toczą się dyskusje. Stuhektarowe „poletko” staje się przedmiotem nie milknących rozmów. Na swoim własnym polu sowchoźnicy przekonują się, ile można u nich uzyskać, jeśli tylko stosować nowoczesną agrotechnikę.

„Zwiedzamy laboratorium. Skromne meble, w oknach tiulowe firanki, wiele kwiatów. Interesuje nas zwłaszcza dział technologii ziarna. W ZSRR ludzie chcą jeść smaczne pieczywo, makarony, ciastka. Ustaleniem „piekarskich” właściwości różnych pszenic zajmuje się naukowiec Lew Czorba. Próbuje pysznych gatunków chleba.

— Czy towarzysze mają jakieś pytania?

— Nie — stwierdzam. — Na wszystkie pytania odpowiedział chleb.

Naukowiec żartuje, że z zaleceń przez Instytut rad chętnie korzystają piekarze Moskwy, Kijowa i Rostowa, tylko miejscowa piekarnia po swojemu. Pamiętając o naszych piekarniach z PSS, bierzemy miejscowych w obronę. Wprawdzie we własnej Ojczyźnie „nie są prorokami”, ale u nas mogliby nimi być.

Tu najlepsza pszenica

W następnym pokoju wita nas Mikołaj Gariaczew, mały, niepozorny człowiek w białej wyszywanej koszuli. Prosty, bezpośredni jak każdy z tutejszych naukowców.

Razem z nim od roku 1933 pracuje jego żona. W tym pokoju Mikołaj poznał młodą dziewczynę. Czy są szczęśliwi, nie trzeba pytać. Instytut to dla nich kawał własnego życia.

Słucham jak Gariaczew opowiada: Przyjechałem tu w 1929 roku, gdy robotnicy kolejowi kończyli właśnie budowę przystanku. Nigdzie nie widziałem tu w okolicy ani kłosa pszenicy, wszędzie step. A dziś nasze całe miasto, to Ziernograd, hodujący najlepsze odmiany pszenicy dla całej południowej części Związku.

Moi towarzysze wychodzą, mamy pojechać w pole zobaczyć najnowsze maszyny rolnicze. Trudno mi się rozstać z Gariaczewem.

— Towarzyszu — pytam — a nie ciągnie was do dużego miasta, na lepszą posadę?

Gariaczew mnie nie rozumie.

— Jakże stąd odejść? — pyta zdziwiony.

Nie ma jednak czasu na wyjaśnienia, sygnał samocho do ponagla, toteż towarzyszywi Gariaczewowi ściskam tylko mocno rękę.

W aucie mknącym główną arterią Ziernogradu — ulicą Specjalistów, przypatruję się twarzom moich kolegów. Zwykle elokwentni, pełni humoru, milczą. Podejrzewam, że każdy z nas sądzi o drugim, że popełniliśmy wielką omyłkę, myśląc wczoraj, że radziecki instytut naukowy to tylko laboratorium, wykresy, mikroskopy.

MACIEJ GRYPIN

P. S. „Przystanek Wielbłąd” to jeden z reportaży Macieja Gryfina, przygotowywanych do druku przez Państwowe Wydawnictwo „Iskry” w tonie pod tytułem: „20 tysięcy kilometrów niezwykłej podróży”.

Przez zakratowany otwór w murze wpadała tu garść powietrza. Wdychałem je z chciwością kuracjusza, syciłem się widokiem mleczarza z banką na plecach, schodzącego w dolinę, smukłych świerków i obłoków, które niemal zawdzały o wzgórze. Z jego szczytu zsuwał się srebrzysty wagonik kolejki linowej.

Zamknięty od miesiąca w więzieniu śledczym w B., oskarżony byłem o buntowanie cudzoziemskich robotników przeciwko dyrekcyi fabryki, o złośliwe uchylanie się od pracy — jednym słowem „staatsfeindliches Verhalten”. Przewinienie moje nie należało do najcięższych, niemniej po przyznaniu się do winy, co nastąpiło po konfrontacji z dwoma fabrycznymi śpiczlami, groził mi obóz karny w Innsbrucku. Uchodził on za ciężki, gdyż więźniów używano do odgrzebywania bomb zegarowych, które Amerykanie zrzucali ostatnio dość często na austriackie miasta, a zwłaszcza na Innsbruck.

Współtowarzyskami, wyrażając się banalnie, mojej niedoli był pewien Grek, którego złapano prześlizgującego się przez zieloną granicę do Szwajcarii i dwóch Serbów, ujętych w czasie ucieczki do kraju. Dopiero wczoraj dokwaterowano rodaka z Polski. Był to chłopak lat około 18, niezwykle warty, o szarej malutkiej twarzyczce i lyszej głowie — włosy miał zgolone „na zero”. Pochrząkiwał sucho, zakrywając dłonią usta. Noc przeszedł z przynikniętymi oczami, oparty o piec. Drzemał, a może rozmyślał nad swoim losem. Przyjechał tu podobno z Oświęcimia — to wszystko, czego dowiedzieliśmy się określną drogą, bo nasze pytania zbywał upartym milczeniem.

Józef Ratajczak

NAD ROSYJSKIM

O, ilem nocy kiedyś strawił, by poznać czar tych kilku strof: Mój diadko samych czestnych prawil kagda nie w sztuku zaniemoż...

I odtąd wciąż już bez wyjątku nie odstępuje mnie na krok siatuny Jesienin i Lermontow, młodzieńczy Puszkina, dumny Błok.

I bliskich, dźwięcznych słów urokiem rozbrzmiewa mój zacisny dom... bieliejat parus adinokij w tumanie moria galubom...

Pięć lat walki O BIAŁY WĘGIEL

Budowniczo- komunizmu w Związku Radzieckim obchodzą obecnie niezwykły jubileusz: 5-lecie budowy na Woidze pod Moskwą największej hydroelektrowni nie tylko w Związku Radzieckim, lecz na całym świecie. Jest to tak zwana hydroelektrownia kujbyszewska.

Przed 5 laty partia i rząd radziecki podjęli uchwałę o budowie elektrowni, której miliony kilowatów energii uruchomią nowe zakłady przemysłowe i zaopatrzą w prąd znaczną część centralnej części Kraju Rad. W 1950 roku przybił do brzegu pod górą Mogutową pierwszy statek z robotnikami, przyszłymi budowniczymi gigantycznej elektrowni. Dzisiaj nie do poznania zmienił się brzeg Woigi pod Zygulami. Powstały nowe osiedla robotnicze, których nie znajdziemy na żadnej z najdokładniejszych map. Są to: Zygulewsk, Kom-somolsk, Szluzowoj, Portowoj. Osiedla te posiadają wszystko, co jest potrzebne do życia: kluby, szkoły, przedszkola, żłobki, szpitale, polikliniki, stadiony sportowe, jadłodajnie i sklepy. Zbudowano przeszło pół miliona metrów sześciennych powierzchni mieszkalnej.

Z roku na rok zwiększały się prace zajmowane przez maszyny i materiał budowlany. Szły transporty z Mińska i Baku, Moskwy i Charkowa, Czelabińska i Swierdłowska. Na budowę przybyły setki tysięcy wagonów z materiałami budowlanymi. Robotnicy otrzymali 1270 ciężarówek, setki traktorów i koparek, około 300 różnych dźwigów, 3000 pomp i mnóstwo innego rodzaju maszyn. Na tyłach hydroelektrowni powstały zakłady produkcji betonu, armatury i kruszenia kamienia. Przy pomocy takiej techniki budowniczo mogli dokonać isticie gigantycznych prac. Przerobili przeszło 100 milionów metrów³ ziemi, ułożyli przeszło 4 miliony m³ betonu, wbi-

li 40 tys. ton klinów betonowych, zmontowali przeszło 250 tys. ton armatury. Pierwsze budowle — dolne śluzy i przyległe doń kanały oddano już w stanie gotowym do użytku. W tym miejscu, gdzie przed 5 laty przybił do brzegu pierwszy statek z robotnikami wznosi się obecnie ogromny żelbetonowy gmach hydroelektrowni.

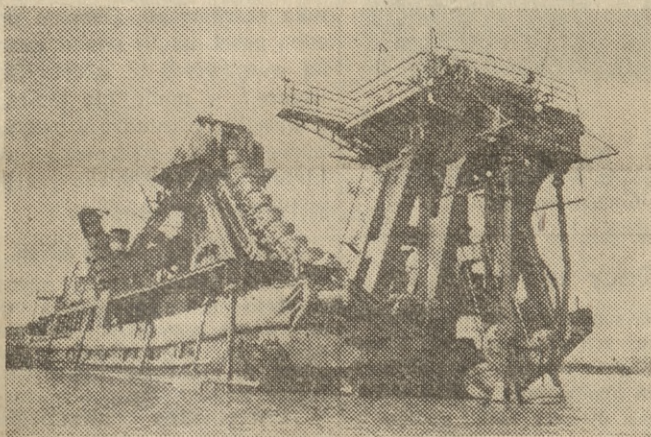
W sierpniu br. budowniczo- wie odnieśli wielki sukces — zwycięstwo nad Woigą. Na rzece zakończono budowę lewego ramienia śluzy. Obecnie brzegi wielkiej rzeki rosyjskiej zbliżyły się do siebie i tylko 360 metrów bystro płynącej wody rozdziela brzegi Woigi. Już wkrótce szeroki, napowietrzny most połączy obydwie brzegi.

Budowniczo- wie z całą dokładnością przygotowują się do tej trudnej i odpowiedzialnej pracy, która ma być wykonana ku uczczeniu XX Zjazdu KPZR. Właż ziemi prze-groził Woigę, połączą się obydwie brzegi i woda popłynie nowymi korytami — przez dolne śluzy elektrostacji.

Nieco na uboczu, na obszer- nym placu rozpoczęto montaż 400-tonowego koła pierwszej turbiny wodnej. Upłynie jeszcze kilka miesięcy i pierwsze agregaty kujbyszewskiej elektrowni dadzą krajowi pierwszy przemysłowy prąd.

Budowa hydroelektrowni kujbyszewskiej stała się znakomita szkoła techników i maj- strów, których wielu zdobyło sobie popularność w kraju, osiągnęła wysoki poziom techniczny.

(wg „Litteraturnoj Gazety“)



W czasie prac przy wykopie pod fundamenty Kuibyszewskiej Elektrowni Wodnej duże usługi oddaje pogłębiarka „Piatiletka”, którą widzimy na zdjęciu.

Maszyna ta wydobywa w ciągu doby tysiące metrów sześciennych żwiru i skalistego gruntu.

jakiejś większej ofensywy. OKW-donosilo tylko o „Spähttrupptätigkeit”. Nagie szarpnęło mnie coś za marynarkę. Kolega z Polski pokazywał palcem korony drzew, obrzucone późnym, październikowym słońcem. Zaurumienił się, wydawał się niemal szczęśliwy.

— Szczerozłote, co? — rzekłem. Kiwnął głową, zachwycony.

Wesliśmy do poczekalni. Schupowicz zapalił fajki a nam kazali się rozbić. Wąty kolega z Polski ściągnął zięcioną, wojskową, pewno z angielskich zrzućców, koszulę. Wyplął swa mizerna klatkę piersiową, na której skóra unosiła się nerwowo pod naporem serca. Pocił się, trąc ręce o spodnie. Chrzakał teraz częściej.

Nadchodziła ciężka próba. Wiedziałem, że Amsarz ma prawo w wyjątkowych wypadkach zaoponować przeciwko umieszczeniu „Ausländera” w obozie karnym, ale coż, szanse były żadne...

Do gabinetu lekarza wszedłem pierwszy. Za mną — reszta. Schupo stuknął obcasami.

Uformowaliśmy szereg pod ścianą. Amsarz był blondynem o zmęczonych kobiecej twarzy, obciągniętej białą skórą, przez którą prześwitywały niebieskie sznureczki żyłek. Wyraz jej był apatyczny, jak u ludzi przemęczonych i — co ważniejsze — znużonych mechaniczną pracą opukiwania setek pacjentów dziennie.

Zbliżał się po kolei do każdego z nas, kazał wywalić język, oglądał zęby, pytał się monotonnym głosem, czy czegoś nam nie brakuje.

— Gesund?

Grek chwycił się za wątrobę, pokazywał coś na migi powtarzając jak kołowrotek „krank, krank”. Serb zla- pał się za brzuch. — Przepuklina — krzywił się, jęczał.

Ale dla Amsarza to wszystko było bez znaczenia.

Stałem ostatni w szeregu, rodak z Polski zaraz koło mnie z prawej strony. Właśnie podszedł do niego lekarz.

— Co ci dolega — spytał — Gesund?

Wielkie, ciemne oczy chłopca błyszczały gorączką, długie rzęsy rzucały cień na policzki. Zakaszał, ale milczał.

W zachowaniu lekarza dostrzegłem coś w rodzaju zainteresowania kolegą z Polski. Klepnął go lekko w łopatkę, jakby zachęcał do rozmowy.

Ale tamten milczał, a w jego oczach pojawił się ten sam żalostny refleks co wtedy, w celi, gdy pytałem o powód aresztowania.

— Warum schweigst du, Junge? Niks gesund? — nagabywał lekarz trochę już rozszłoszczony.

Chłopak zbierał tymczasem siły, skurczył się w sobie, jak pływak, który szykuje się do skoku. Lekarz tego nie widział.

— Niks sprechen? Mówicz! — ryknął. Pocerwieniła jak indyk. — Idiot!

Wtedy chłopak zbliżył, zakrzuszył się.

— Uuuuuuuuu — potworny jakiś bełkot wydostał się z jego gardła. Przemówił.

— Aufmachen! So, so... — krzyknął zwycięsko lekarz. Chwycił go oburącz za głowę. Zaglądał do wewnątrz.

W pokoju zrobiło się cicho. Wstrzymaliśmy oddechy. „Zielony Schupo” wyciągnął zylastą szyję, wyjął fajkę z ust. Tylko za oknem buczała smęt- nie syrena statku.

— Aber, aber... — przerwał ciszę lekarz — du hast doch keine Zunge. Niks Zunge!

Temu chłopcu wyrwano język.

ROZBŁYSŁY DWIE NOWE GWIAZDY

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

Z początkiem września br. cywilizowany świat obiegła zajmująca wiadomość, że w obserwatorium jednego z uniwersytetów kalifornijskich astronom dr Herbig dostrzegł „narodziny” dwóch gwiazd. Z powściągliwością właściwą nauce uprzedził jednak o konieczności sprawdzenia i uzupełnienia obserwacji przed wystąpieniem z doniesieniem ostatecznym i autorytatywnym. Chodzi o wydarzenie niezwykle doniosłe w dziejach nauki. Byłoby to bowiem, w razie jego potwierdzenia, pierwszy wypadek w dziejach astronomii: zaobserwowania powstania gwiazd. Artykuł poniższy ma Czytelnikowi zdać sprawę z niektórych elementarnych zagadnień, związanych z komunikatem dr. Herbiga.

„naszych gwiazd? Tu zaczyna się dopiero kłopoty. Trzeba sobie wprerw uprzytomnić dwa fakty. Jeden — to niewyobrażalnie wprost wielkie odległości ciał niebieskich w Wszechświecie. Znamy je doskonale dzięki metodom trygonometrii astronomicznej i, w związku z „narodzinami” naszych gwiazdnych „bliźniąt”, podać odpowiedź w kilometrach, wyglądałaby ona tak:

15 137 280 000 000 000 km.

Ta liczba-kołos, której od- czytanie słowne sprawia już

przeżycie Wszechświata, nazywa się „rokiem światła” i niech stanowi niejako astro- nomiczny „łokiec” do pomiaru odległości gwiazd.

Podajmy więc miejsce urodzenia dwu nowych gwiazd w latach światła. Dziełimy: liczbę-kołosa 15 trylionów 137 280 000 000 000 km przez wartość „roku światła”, tj. 9 i pół biliona kilometrów. Wynik: około „1600 lat światła”.

Spóźniony akt urodzenia

CO to praktycznie znaczy? Odpowiedź, choć nauko- wa, będzie brzmieć zabawnie: „tata” — Herbig spóźnił się do „kołyski” gwiazdnych „bliźniąt” o blisko 1600 lat! Gwiazdy rozbiły się rzeczywiście w odległości liczby — potwora 15 137 280 000 000 000 km czyli 1600 „lat światła”, a więc przed 1600 laty. Akt urodzenia jest więc nieco... spóźniony, ale na to nie ma rady. Przecież i promień Słońca widzimy dopiero po upływie 500 sekund czyli przeszło 8 minut od chwili, gdy rzeczywiście opuścił Słońce. (Wynika to z dzielenia odległości Słońca 150 milionów kilometrów przez prędkość światła 300 000 km na sekundę.) Tak więc i w katalogu gwiazd, na dobrą sprawę, należałoby w rubryce: kiedy? zrobić dla naszych gwiazdnych bliźniąt poprawkę. Datę 2 września 1955 należałoby przerobić na prawidłową, cofniętą o 1600 lat... Był to więc rok 355.

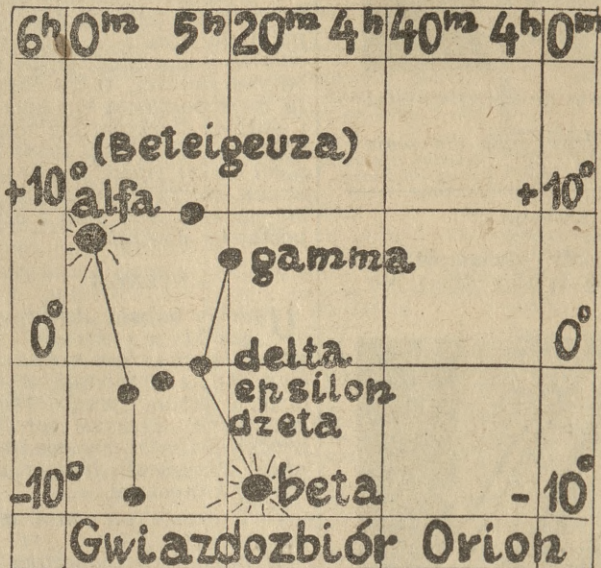
Takie zagadnienia mogą wy- łączyć się przy lekturze astrono- micznego komunikatu dr. Herbiga. Dla nauki jest on ważny, gdyż — wobec wyjątkowości tego odkrycia — można bę- dzie skontrolować hipotezy, głoszące, że we Wszechświecie „narodziny” gwiazd na- stępują od prazasu — do dzia- siaj.

Kariera

„super-nowych” gwiazd

OBSERWACJE bliższe ta- kich „narodzin” gwiazd wyjaśnia też szczegóły, jak te „narodziny” gwiazd nastę- pują. Być może, że nasze „bli- źnięta” nie pożyją długo. As- tronomia zna typ gwiazd tzw. „nowych” i „super-nowych”. Migoce to pewna gwiazda, naraz rozbłyska niezmiernym blaskiem i niebawem... gaśnie na zawsze. Rozbłysnięcie takie to gigantyczny wybuch atomo- wy. Przypomina to trochę o- statnie rozbłysnięcie kłota... dopalającej się świecy. Nasze „bliźnięta” gwiazdne dr. Herbiga blyszczą według donie- sień stałym światłem, nie mają więc tendencji robić „ka- rierę „super-nowych”, która byłaby zresztą ich własną za- gładą. Ich odległość od Ziemi: 1600 „lat światła” pozwala nam, ziemianom, na spo- kojne oczekiwanie nawet tak- lego „fajerwerku” z gwiazdo- zbioru Oriona, bo odległość jest... przyzwoicie bezpieczna.

Zresztą, na 300 miliardów gwiazd nie więcej niż 6 do roku rozbłyska dalekim a złowróżbnym, przedśmiertnym blaskiem wybuchu „nowej” i „super-nowej”. Przyznacie, Czytelnicy, że w tym mrowiu gwiazd sympatycznym gwiazd- nym „bliźniętom” — może się przez światło w ciągu roku w



Gwiazdozbiór Oriona, w którym ostatnio nastąpiły „narodziny” gwiazd. Oriona widać w Europie w zimowej nocy. Poznajemy go po charakterystycznym kształcie figury rozmieszczenia gwiazd.

choć brzmiały one dla laika po- dejmające i fantastycznie, war- tość ich nie ulega żadnej wą- pliwości i jest (oczywiście, w granicach niewielkich stosun- kowo, dopuszczalnych błędów) tak niebudząca wątpliwości, jak samo istnienie tych ciał.

Astronomiczny „łokiec”

GDYBYŚMY przy pomiarze odległości gwiazd chcieli używać kilometrów lub nawet „jednostki planetarnej”, wyno- szącej aż 150 milionów kilo- metrów, jak swoistego „łoka- cia” do pomiaru odległości gwiazd, to musielibyśmy po prostu zapisywać te odległo- ści... huraganem zer po pierw- szej cyfrze znaczącej ilość ki- lometrów. Astronom ma więc poważne pomiarowe kłopoty. Gdyby chciał na pytanie Czy- telnika: gdzie?, wyrażone

Stał teraz naprzeciwko Amsarza z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i tą swoją mizerną pierśią podaną do przodu. Po policzkach spływały cięż- ko łzy.

Lekarz namyślał się. Nie ulegało wątpliwości, że w ten sposób torturo- wano tylko człowieka, który mi- lczal. A do takich milczków należe- li: wiadomo kto... Na ten temat na- słuchał się wręcz nieprawdopodob- nych historii. Sytuacja wymagała więc zachowania środków ostrożności.

Myślał, ciągle bębniąc palcami po wypolerowanej powierzchni biurka. Nagle potarł ręką czoło, ożywił się jakby znalazł wyjście z tej trudnej sytuacji.

Kątem oczu zerknął teraz w moją stronę. — Du bist auch mager — powie- dział dając mi lekkiego klapsa w łopatkę.

— Mager — rzekłem głośno i wyraźnie.

— So, so — mruczał lekarz w do- brym humorze jakby pozbył się wą- pliwości, która mu nie dawała spoko- ju. Uśmiechnął się.

Kolega z Polski płakał, trząsł się beznadziejnie jak małe dziecko.

— Niks weinen — wycedził Schupowicz, otaczając się kłębem dy- mu. — Verboten!

Lekarz usiadł, skreślił szybko kilka słów, w tym i moje nazwisko.

— Der aber ist nicht rot — doszedł do wniosku, patrząc na mnie. — So, so — mówił do siebie. Machnął za- maszyście podpis, wyjął z szuflady pieczęć. Chuchnął, przywalił.

Na tym wizyta u Amsarza była zakończona.

Nazajutrz, zapłaciwszy karę pie- niężną, zostałem z wzięcia zwolnio- ny jako „transportunfähig”.



Zadanie likwidacji analfabetyzmu w Mongolskiej Republi- cie Ludowej zostało w zasadzie rozwiązane. 99% doros- łej ludności kraju nauczyło się czytać i pisać. Zdjęcie nasze przedstawia hodowców wielbłądów, którzy z za- interesowaniem czytają gazetę.

Fot. — CAF

Znalazł wyjście

W krajach kapitalistycznych rośnie przepięszość wśród młodzieży, która po ukończeniu studiów nie może znaleźć pracy.



— Dlaczego oskarżony po ukończeniu uniwersytetu stał się włamywaczem?
— Bo okazało się, że wszystkie drzwi były dla mnie zamknięte.

W Turcji

Turecki minister oświadczył, że „z różnych przyczyn 200 tysięcy dzieci nie uczęszcza do szkół”.



rys. L. Brodaty

— Mamo, niedługo pójdę już do szkoły, a nie mam się w co ubrać.
— Nie martw się! I tak nie mamy pieniędzy na szkołę.



rys. Jelisiejew

— Znowu się upiłeś! Przecież dostatek już ostatnie ostrzeżenie!
— Nie szkodzi. Przyzwyczaiłem się. Nie pierwszy raz...

Anegdoty współczesne

POMNIK

Wzywano pracownika, wręczono delegację. Mówią tak i owak. „Macie jechać do Entego kamieniomu przygotować marmur dla Danej budowy”. Pracownik wyjechał bez słowa.

Oto i przygotowuje marmur dzień, dwa dni, tydzień. W drugim tygodniu znużył się nieco, zaczął mrzonki wymyślać.

— Hm, cóż mnie może czekać za tę ofiarną pracę? Chyba podziękowanie w raporcie. A gdyby tak honorowy dyplom lub order?

I doszedł w swoich rozważaniach do tego, że jeśli wypełni na czas i w całej rozciągłości swe zadanie, to chyba nie inaczej, tylko jeszcze za życia postawią mu pomnik i złotymi głoskami wykują je go nazwisko. I gdy tylko doszedł do tej myśli, zaczął najlepszy marmur odkładać sobie na bok. Aby było z czego postawić pomnik.

PIERÓG

U piekła babcia pieróg, nie wielki i niemący, ot, normalnych rozmiarów. Ale smaczny, z grzybami. A była owa babcia sprzątaczką w kancelarii. I wnuk jej tam pracował i miał właśnie imię. Przyniósł babcia pieróg do kancelarii.

— Urzycie się, moi mili, poczęstujcie.

W kancelarii zobaczono pieróg, w głos się zachwycano.

— Och, Boże, co za pieróg. Cudo prawdziwe.

I już szykowano nożyk.

Lecz stary pisarz wtrącił nagle:

— Nie, ja przez was rozum stracię. Bez pozwolenia pomocnika naczelnika kancelarii — dam ja wam jeść pierogi!

Pobiegł, przedkłada.

Złaził się pomocnik naczelnika. Nie podjął decyzji. Odeśłał starszego pisarza do naczelnika. Naczelnik myśli, myśli. Wreszcie mówi:

— Wiecie co, napiszcie podanie. Pójdę z nim do swego naczelnika. Jak zadecyduje, tak i będzie. Usiadł więc pisarz A, pisarz B, pisarz C i pod przewodnictwem naczelnika pisali cztery dni podanie. Pięknym tuszem naszkicowali plan pieroga, przekroję pieroga, wygląd z góry, z dołu, z boku. Sprawdzono, uzgodniono, wygadano. Zanimiono do naczelnika kancelarii.

Naczelnik przeczytał, rozemniał się.

— Przyniósł babcia pieróg? Jedzcie więc na zdrowie!

Ale pieróg tymczasem szczytnie skamieniał. Nie u-

kroisz go nożem. Martwiono się w biurze. Bo jak tu wykonać polecenie głównego naczelnika kancelarii?!

Na podst. L. Łagina

oprac. J. RATAJCZAK

Skromniś!

— Nie mogę cię przyjąć na posadę, bo praca u nas nie wiele. Ja sam nie nie robię.

— Ależ ja do nieczego więcej nie pretenduję...

rys. Gliwenko



Na widłach „Krokodyla“

Konsylium złożone z przemysłowców i przedstawicieli reakcyjnej prasy zebrało się w popiochu u drzwi swojej wladczyni Zimnej Wojny.

— Co z naszą staruszką?

— pyta jeden z obawą w głosie.

— Przebiegła się poważnie w Genewie — odpowiedziano mu. — A w tym wieku może to być śmiertelne.

W Madrycie kursuje taki dowcip:

Podchodzi ktoś do kiosku.

— Poproszę „Hiszpanię”.

— Sprzedana.

— A „Naród”?

— Jeszcze nie wyszedł.

— Więc może „Nowości”?

— Otrzymał naprzeciw, przy amerykańskim poselstwie.

Dobrze się mają producenci wina — wzdychał leniwy inżynier budowy maszyn. — U nich, im starsza produkcja, tym wyżej ceniona.

Na przesadne „modnisie”: —e tylko na polach spotyka się straszidła.

Pewien krytyk to prawdzi-drogowskaz: wszystkim wskazuje drogę, ale sam ani kroku nie idzie naprzód.

— Jak sprawy w waszym dziale?

— Planu nie wykonujemy.

A tak — wszystko w porządku.

(wybrał Erjot)



rys. L. Gencz

— Dozorca prosi o zwolnienie go z pracy.

— W żadnym wypadku! Kogo będziemy krytykować?...



OKRĄGLE... INTERESA!

Ubiegłoroczny sezon przyniósł amerykańskiemu przemysłowi bielizniarskiemu doskonałe dochody. Między innymi, Amerykanki wydały 54 miliony dolarów na zakup „sztucznych piersi”. Taki komunikat przynosi fachowe pismo bielizniarskie wychodzące w USA, donosząc jednocześnie o najnowszym wynalazku w tym zakresie a mianowicie: o odpowiednim kostiumie kąpielowym z nylonu.

NIESTNIEJĄCE MIASTO

Argentynskie pismo „El Nacional” podało wiadomość o mieście Desagues, w którym, jak w każdym innym, znajdują się: policja, straż ogniowa, urząd pocztowy i wreszcie szkoły. Otóż pracownicy owych urzędów opłacani byli z budżetu państwowego za pośrednictwem wysokiego urzędnika skarbowego. Obecnie pewien poseł ustalił ponad wszelką wątpliwość, że miasto Desagues... w ogóle nie istnieje a wszelkie pieniądze z pozycji budżetowych wędrowały do kieszeni wspomnianego już po myślowego pośrednika.

WZGLĘDNE ZAUFANIE

Pocztą amerykańską używa ostatnio nowego stempla do kasowania znaczków naklejanych na przesyłkach listowych. Stempel nosi napis: „Ufajmy Bogu!”. Dwaj obywatele amerykańscy, niezupełnie zgodni z tą urzędową opinią, kazali sobie sporządzić własny stempel i zaczęli stawiać na listach pieczętki z napisem: „Bóg nam nie ufa!”. Otrzyma-li oni wysokie kary pieniężne a stemple ich uległy urzędowej konfiskacie. (j)



rys. Konowałow

— Wystap, skrytykuj dyrektora. Nie masz żony, dzieci. Czego się masz bać?...

Decyduje — lekarz

Aby zapobiec szerzeniu przez pomysłowych właścicieli kin pornografii przy reklamowaniu najnowszych filmów, rada miejska w Selbinger (Niemcy zach.) podjęła uchwałę następującej treści: „...zabrania się przedstawiania na plakatach reklamowych biustów damskich odbiegających swym wyglądem od spotykanych w życiu codziennym. W wypadkach spornych rozstrzyga miejski urząd zdrowia.”

Włodzimierz Scisłowski

Nieporozumienie

Zdarzają się wypadki niewłaściwego pagowania spółdzielczości produkcyjnej.

Raz na wieś z odczytem prelegent przyjechał — padały raz po raz „lan”, „niwa” i „strzecha”.

Po wstępie tym grzmiącym — spokojny zupełnie — jął wszystkim zalecać gładziutko — spółdzielnię.

W spółdzielni — wiadomo — technika i postęp. Nie trzeba się trudzić. I wszystko jest proste:

Maszyna wydoi. Maszyna opieje. Pieniążki polecą. I pracy niewiele.

Nie to co, jak dawniej — człek harał na morgach. Sam musiał to wszystko. Po prostu katorga.

A teraz — jak mówił jegomość ten z miasta — siał tylko wystarczy — i bujnie wyrasta!

A w domach łązienki. Przy domach garaże. I wszystko się spełnia, co każdy rozkaże.

Więc — ryknął z zapalem — kochani rrodacy! Załóżcie spółdzielnię!! Do czynu, do pracy!!!

...do pracy? — Chłop jakiś za ucho się skrobnął — w spółdzielni nie trzeba nic robić podobno!...

Na Dzień Kolejarza

